

tywizm w każdym przypadku, nie tylko nie osłabia pięknych uczuć dla swoich najbliższych, dla narodu, ale je nawet potęguje, gdyż nie są one osłabiane przez różne emocje. Również nie niszczy energii potrzebnej dla zwalczania działań szkodliwych dla narodu czy państwa.

Filozofia życiowa, wypracowana przeze mnie w dużym trudzie, była mi pomocna w zachowaniu kierunku działalności w moim długim życiu. Byłem zabezpieczony od wszelkich, w moich oczach szkodliwych wpływów różnych środowisk, wśród których wypadło mi przebywać, a przez to samo uniknąłem załamania się wewnętrznego. W miarę narastania aktywności życiowej rósł szacunek wewnętrzny dla samego siebie, który stanowił też wielkie moje bogactwo. Od świata zewnętrznego nie oczekiwałem nigdy uznania moich zasług, gdyż uznanie własne było mi dostateczną nagrodą. Z tych racji nie spotykały mnie żadne cierpienia, gdy praca moja i zasługi nie były uznawane przez innych, albo też, gdy uznanie przychodziło zbyt późno. Tego bogactwa psychicznego nie oddałbym też za największe korzyści materialne.

I chociaż życie moje, pełne wydarzeń, nie było usłane kwiatami, doszedłem do przeświadczenia, iż los dużym szczęściem mnie obdarzył.

R O Z D Z I A Ł III.

Po śmierci ojca, w roku 1885 wyjechałem na studia politechniczne do Rygi. Musiałem się jednak przygotować do egzaminu maturalnego, bowiem prywatne szkoły nie miały w zaborze rosyjskim żadnych praw. Miałem z tym dużo pracy, a głównie z językiem niemieckim, który stosowano przy egzaminie ze wszystkich przedmiotów.

Egzaminu do politechniki w pierwszym terminie nie zdałem. W szkołach/rosyjskich panował zwyczaj podpowiadania koledze. Tak jak na Zachodzie, nie uznawano tego zwyczaju także w Rydze. Za takie właśnie przewi-

nienie spotkała mnie zaraz na wstępie dotkliwa kara, bo nie pozwolono mi kontynuować egzaminu.

☞ Nie mając nic do stracenia, pojechałem do domu na wieś. Przydał mi się nawet odpoczynek po intensywnej nauce, trwającej przez 4 miesiące do 16 godzin dziennie.

Tu nadarzyła mi się sposobność zapoznania się z poważniejszą beletrystyką. Przewertowałem całą bibliotekę domową. Powieści czytałem bardzo wolno, z jednoczesnym krążeniem myśli wokoło psychologicznego stanu różnych typów w nich znajdujących. Lektura ta pozwoliła mi wniknąć w zjawiska psychiczne ludzi i rozszerzyć znacznie dotychczasowe moje doświadczenie w dziedzinie przejawów życia ludzkiego.

Z nastaniem cieplejszej pory zajmowałem się pasieką, którą stworzyłem jeszcze w czasie uczęszczania do szkoły średniej. Fach ten zdobyłem w Warszawie, na specjalnych kursach, prowadzonych przez słynnego pszczelarza polskiego, Lewickiego.

W pierwszych dniach września 1886 roku pojechałem znowu do Rygi, celem przygotowania się do egzaminu maturalnego, którego termin się zbliżał. Tym razem nie miałem niepowodzenia, jakkolwiek okazało się później, że i tym razem spotkać mnie mogło nieszczęście, tylko innego rodzaju jak poprzednio. Rosyjskie ministerstwo oświaty zabroniło politechnice ryskiej egzaminować i przyjmować do uczelni młodzież ze średnich szkół prywatnych. I dopiero starania władz politechnicznych spowodowały wyjątkowe zezwolenie na odbycie po raz ostatni egzaminu, z zachowaniem terminu przewidzianego w ogłoszonym już programie. Przy tym profesor matematyki, Kiserit^Ski, zobowiązał się do surowszego egzaminowania kandydatów. Wynik był taki, że kilkudziesięciu egzaminowanych nie zdało. Duszę miałem wprawdzie na ramieniu, ale przecież zdołałem przebrnąć przez tę ciężką próbę i dostałem się sam jeden wówczas do politechniki.

Wstąpiłem na wydział chemiczny, chociaż byłem do tego przedmiotu zrażony w szkole średniej. Wykładał ją wtedy bardzo nieumiejętnie magister farmacji. Zdawało mi się, że to nauka wyłącznie pamięciowa, a ja miałem większe skłonności do nauk ścisłych, matematyczno-fizycznych.

Postanowiłem życie urządzić sobie na wsi, do której byłem przywiązany. Przebywanie w mieście nie odpowiadało mi. Chciałem prowadzić żywot osiadły, z możliwością pracy wśród ludu wiejskiego, co wysuwałem na czoło swych zainteresowań. Było to dla mnie trudnym zadaniem przy wyłączeniu rolnictwa, a do pracy na roli nie miałem zapachu. Zjawiska przyrodnicze w rolnictwie, postępujące bardzo wolno, nie zgadzały się z moim temperamentem. Również ciążyła mi wielka zależność świata roślinnego od warunków atmosferycznych.

Te rozmyślenia nad wyborem kierunku dalszego kształcenia się, odbywałem w ostatniej klasie szkoły średniej.

Myslałem zrazu o medycynie. To, że musiałbym przed wstąpieniem na uniwersytet opanować łacinę, nie zrażało mnie. Znając jednak wrażliwość swoją na cierpienia ludzkie, bałem się tego zajęcia. Również stan duchowny brałem pod uwagę. Wnet jednak zaniechałem tej myśli, znałem bowiem opłakane warunki duchowieństwa na wsi; organy polityczne zaborcy śledziły bardzo uważnie działalność polskich księży, a ich samych prześladowały.

W tych okolicznościach, które utrudniały mi powzięcie ostatecznej decyzji, skończyłoby się zapewne, mimo wszystko, na wybraniu rolnictwa, gdyż zarządzając większym majątkiem mogłem przecież dobrać sobie odpowiedniego pomocnika rolnego i zająć się samemu prawie wyłącznie pracą społeczną, gdyby nie przypadek, który inaczej pokierował moim losem.

Wpadła mi do ręki broszura z dziedziny technologii chemicznej o suchej destylacji drzewa; ponieważ zaś lasy ojca mogły dać dostateczną

ilość surowca potrzebnego do tego rodzaju produkcji, zdecydowałem się ostatecznie poświęcić się pracom na wydziale chemii.

Studia swoje w wyższym zakładzie rozpocząłem z wielką gorliwością. Wprawdzie nauka rozłożona była podług programu na 5 lat, lecz odrabianie przedmiotów było omal, że dowolne. W pierwszym roku można już było słuchać przedmiotów z dalszych lat, z wyłączeniem tych, dla których nie były jeszcze wysłuchane przedmioty podstawowe. Trzeba było więc naprzykład mieć wysłuchaną uprzednio wyższą matematykę, aby uzyskać prawo słuchania mechaniki.

Wyczuwając duże braki w swoim wykształceniu ogólnym jak historia, literatura, historia kultury, a nawet estetyka, korzystałem, w chwilach wolnych od zajęć z bardzo bogatej biblioteki uczelni ryskiej.

Młodzież polska, stanowiąca 33% studiujących na tej politechnice, grupowała się przeważnie w dwóch korporacjach "Arkonii" i "Welecji". Taka jedynie forma stowarzyszenia była w Rydze dozwolona.

Trzy korporacje niemieckie, jedna rosyjska i jedna łotewska, prowadzące życie przeważnie burszowskie, nie wzbudzały niepokoju u rosyjskich władz politycznych. I chociaż dla polskich stowarzyszeń forma korporacji była przymusowa, ~~to~~ nie wpływało to na treść życia wewnętrznego, zaś przez analogię swej formy organizacyjnej do innych korporacji, nie budziła u władz rosyjskich podejrzeń.

Korporacje polskie wyglądały wewnętrznie zupełnie odmiennie od innych. Zastępowały one słuchaczom ich domy rodzinne i tworzyły zamknięte w sobie społeczeństwa, ze specjalnym ustrojem i statutem. Te niewielkie dwa ugrupowania, liczące po 100 członków, były mocno zwarte i miały duży wpływ wychowawczy, przeważnie dodatni. Wytwarzane tam nastroje, nie pobudzały naturalnie do jakiegokolwiek nielegalnej działalności. Wszystko jednak, co się mieściło w granicach legalnego życia, stało na wysokim poziomie.

Wstąpiłem do Welecji, jakkolwiek mój starszy brat, Władysław, należał do Arkonii. O ile w Arkonii można było używać tytułów rodowych, o tyle w Welecji było to bardzo źle widziane. Był wprawdzie za moich czasów w Welecji jeden książę, ale tytułu swego nie używał.

Wkrótce po otrzymaniu barw zostałem wybrany gospodarzem korporacji. Oprócz pełnienia wysokich funkcji wewnętrznych byłem obowiązany opiekować się młodzieżą kandydacką. Dojrzewanie korporacyjne młodszego kolegi trwało zwykle około roku. Tylko w rzadkich przypadkach otrzymywał kandydat barwy po półrocznym należeniu do stowarzyszenia.

Miałem szczególne upodobanie w przebywaniu z młodszymi kolegami, więc opieka nad nimi była dla mnie łatwa i nieuciążliwa. Wówczas korporacja liczyła trzydziestu k.z. kandydatów.

Na pierwszym miejscu swej wychowawczej roli, postawiłem sprawę odciągania młodzieży od niewłaściwego, w moich oczach, obyczaju burszowskiego siadania wokoło beczki z piwem i picia z krążącej z ręki do ręki szklanki. Takie posiedzenia trwały czasami przez szereg godzin w nocy. Odbываły się one uroczystie i polegały na ciągłym nieomal śpiewaniu pieśni korporacyjnych. Śpiewy te, gdy sobie już dobrze podchmielono, brzmiały dla ucha okropnie.

Mój wpływ okazał się bardzo skuteczny. Mogłem przy tej sposobności stwierdzić, że młodzież ulega łatwiej wpływom pięknym, aniżeli brzydkim.

W dniach świątecznych prowadziłem moich "fuksów" na wolne powietrze dla uprawiania sportów. Po zakończeniu zabawy, mieliśmy zwyczaj chodzenia do mleczarni na mleko.

Jednostki z mojej gromadki, które otrzymywały barwy, nie opuszczały nas, więc grono nasze wciąż się zwiększało.

Powstały wówczas z mojej inicjatywy koła samokształcenia, które nazywały się kółkami oświaty ludowej. Był to okres czasu naszej niewoli, poświęcony przez szersze społeczeństwo możliwie legalnej pracy wśród ludu wiejskiego. Działalność wydawnicza w tym celu była wówczas bardzo duża. Za zbierane fundusze w kółkach oświaty ludowej, sprowadzano do Rygi duże ilości literatury popularnej, celem rozdawania jej pomiędzy kolegów, wyjeżdżających na letnie wakacje na wieś.

Na posiedzeniach kółek samokształcenia, które odbywały się zazwyczaj co tydzień, wysłuchiowano wygłaszanych referatów. Pomiędzy nimi było poruszanych wiele tematów obyczajowych. Jeden z takich tematów sam opracowałem. Przy dyskusji nad nim okazało się, że jestem zupełnie odosobniony w moich poglądach. Trzeba było dłuższych wywodów, aby przekonać moich kolegów. Zabrałem się więc do wygłaszania tego samego referatu także na innych kółkach samokształcenia. Kółek tych było siedem, grupujących przeszło 70% wszystkich kolegów korporacji. Miałem wrażenie, że wszystkich słuchaczy zdobyłem dla swojego punktu widzenia.

Dało mi to duże zadowolenie, gdyż temat ten uważałem za bardzo ważny. Niezdrowe obyczaje, które z całą namiętnością zwalczałem, panowały wówczas wprost nagminnie wśród polskiej młodzieży męskiej, w tak zwanej inteligencji, a weszły już tak w zwyczaj, iż zupełnie nie podlegały krytyce.

Dzięki temu ruchowi umysłowemu podnosiła się znacznie wewnętrzna treść Weleccji. Znacznie większa część kolegów pracowała pilnie nad odbianiem przedmiotów na politechnice, z jednoczesnym kształceniem się w kierunku ogólnym. Korporacyjne posiedzenia naukowe cieszyły się wielką frekwencją i sporo gości z zewnątrz brało w nich udział.

Ryga była, pewnego rodzaju, stolicą dla Polaków z kresów wschodnich. Zjeżdżały do niej na zimę polskie rodziny ziemiańskie, bowiem liczne

młodzieży polskiej pki obojga kształciły się tu w różnych szkołach.

Ferie wakacyjne spędzałem w domu rodzicielskim. Raz jednak postanowiłem wraz z dwoma kolegami, Geblem i Morgentalerem, spędzić parę tygodni w Puszczy Kurpiowskiej, która budziła w nas wielkie zainteresowanie. Idąc pieszo od wsi do wsi, pragnęliśmy zbliżyć się do ludu kurpiowskiego i nieść mu uświadomienie. Ta część kraju wzbudzała większe zaciekawienie, ze względu na wyjątkowe warunki życiowe, jakie jej w historii towarzyszyły. W puszczy kurpiowskiej nie było bowiem dworów szlacheckich, nie było zatem także i zależności pańszczyźnianej.

Olbrzymie lasy, które się na wielkich obszarach rozprzestrzeniały, służyły przed rozbiorami Rzeczypospolitej za miejsce ucieczek różnych osobników, spowodowanych najczęściej ciężkimi warunkami pańszczyźnianymi, a były i przykłady ukrywania się tam przed odpowiedzialnością karną ludzi ze sfery szlacheckiej z racji swojej nieraz bardzo mocnej swawoli.

Ludność puszczy miała dużą swobodę w jej użytkowaniu, pomimo, że były to dobra koronne. Ludności tej nadawano specjalne prawa, nazwane bartniami. Pochodziło to stąd, że wśród mieszkańców było bardzo silnie rozwinięte pszczelarstwo. Ule, umieszczane wysoko, w wydrążonej części pnia, nazywano barciami. Po upadku Rzeczypospolitej, cały las przeszedł na własność rządu rosyjskiego, który uniemożliwił mieszkańcom dalsze korzystanie z niego. Nie tylko bowiem skasowano prawo bartnie, pozwalające na prowadzenie pszczelarstwa w całej puszczy, ale wzbroniono również dostępu do lasu, celem pobierania budulca oraz drzewa na opał. Od tej pory ludność puszczy bardzo zbiedniała i była zmuszona udawać się w dalekie strony na roboty polne.

Było to w roku 1888.- Wiozący nas z Rygi pociąg opuściliśmy w Łapach. Dalszą część drogi, przez Łomżę aż do puszczy kurpiowskiej, odbyliśmy piechotą. Po drodze mijaliśmy wsie, zamieszkałe przez szlachtę za-

grodową. Mieszkańcy każdej osady nosili przeważnie jedno nazwisko.

Szlachcic zagrodowy nie odróżniał się w dniu powszednim od zwyczajnego wieśniaka; w niedzielę natomiast i święta zmieniał on zupełnie swój wygląd zewnętrzny, przywdziewając długą kapotę z ciemnej materii. A chociaż później szlachcic ten był w swoich prawach i obowiązkach zupełnie zrównany z chłopem, to jednak nosił w sobie dumę, opartą na rycerskich zasługach swoich pradziadów, a nadane im dyplomy szlacheckie przechowywał z pokolenia na pokolenie jak największe świętości rodzinne. Dzięki pielęgnowaniu tych tradycji rodowych wytworzył się pewnego rodzaju arystokratyzm w stosunku do wieśniaka. Mezalianu w małżeństwach prawie tam nie było.

Przestrzeń aż do dopływu Narwi przebyliśmy prędko nie zatrzymując się po drodze, bowiem zainteresowania prowadziły nas do osiedli wiejskich po drugiej stronie rzeki.

Pierwszy dłuższy odpoczynek nastąpił tuż przed przejściem mostu we wsi Nowogródek. Spędziwszy w oberży kilka godzin ruszyliśmy w dalszą drogę. Nie uszliśmy jednak i paruset kroków, kiedy zawrócił nas niespodziewanie strażnik i odprowadził z powrotem do wsi, przed oblicze pisarza gminnego.

Pisarz ów, Polak jak się okazało z pochodzenia, służył zapewne lojalnie zaborcy, wykazywał bowiem wyjątkową gorliwość w indagowaniu nas, celem wyswietlenia powodów naszej wędrówki. Okazało się, że tematu do podejrzeń nastroczyły mu nasze kolorowe czapeczki korporacyjne, zatknięte w kieszeniach naszych płaszczy. Posądzano nas, że jesteśmy emisariuszami i przybyliśmy z zagranicy w celach wywrotowych. Z całego zachowania się pisarza gminnego i ze sposobu stawianych nam pytań, przebijała chęć przysłużenia się władzom przełożonym.

Między innymi, zapytywał mnie o znane mi nazwiska ziemian w okoli-

cy Skierbieszowa. Kiedy wymienilem jednego z naszych sąsiadów, ziemiani-
na Morawskiego, indagacje zakończył. Prawdziwość naszych zeznań nie bu-
dziła dalszych zastrzeżeń -- byliśmy wolni.

Musiął to być zupełnie zwyrodniały typ, albowiem fakt, by ktoś, po-
chodzący z polskiej rodziny ziemiańskiej, mógł spełniać tak poniżające
usługi dla rządu zaborszego, mógł być tylko nadzwyczajną rzadkością.

Wreszcie natrafiliśmy na pierwszą wieś kurpiowską. Gospodarz, do
którego wstąpiliśmy przyjął nas bardzo gościnnie i powiadomił, że właś-
nie za chwilę ma się odbyć zebranie wszystkich pełnoletnich mężczyzn dla
załatwienia bieżących spraw wsi. Jedynym punktem porządku obrad miała
być sprawa chowu gęsi. Obrady, którym przewodniczył sołtys, toczyły się
w centrum wsi, pod gołym niebem, a złożony budulec służył za miejsca
siedzące.

✓ Pozostawiając plecaki u uprzejmego gospodarza, poszliśmy razem z
nim na zebranie.✓

Dyskusja była rzeczowa i spokojna. Rozchodziło się o to, że liczne
gęsi, pasące się na wspólnym pastwisku, zanieczyszczają je w tak silnym
stopniu, że staje się ono zbyt słabą pożywką dla krów. Postanowiono więc
z zadziwiającą zgodą, zaprzestać chowania gęsi, pomimo, że uchwała ta
pozbawiała najbiedniejszych dochodu, stanowiącego główną podstawę ich
egzystencji.

Sołtys, uważając nas za gości całej gromady, sądził, że jemu, jako
jej przedstawicielowi, przypada zaszczyt goszczenia nas u siebie. Na
tym tle doszło nawet do wymiany słów z naszym gospodarzem i musieliśmy
używać pełnej argumentacji wobec sołtysa, by go przekonać, że nie byłoby
grzecznie z naszej strony opuścić teraz gościnne progi naszego gospoda-
rza, nie skorzystawszy z jego uprzejmego zaproszenia na przenocowanie.

Stosunek mieszkańców wsi do nas był niezwykle serdeczny; a gdy

opowiedziałem im jeszcze o historii puszczy i jej mieszkańców, o prawach bartnich, nadawanych im przez królów polskich i o tym, że sam jestem pszczelarzem, zdobyliśmy ich pełne zaufanie. Rozmawiali z nami zupełnie otwarcie o stosunku do zaborcy, prowadzili nas na kurhany poległych powstańców, a nawet dopytywali się kiedy to znowu przyjdzie do powstania przeciw ciemnościelskiej Rosji. Po zachodzie słońca obszedłem kilka pasiek, aby przez opukanie uli, określić stan zdrowotny ich mieszkańców.

W dalszej naszej wędrówce doznawaliśmy wszędzie, bez wyjątku, bardzo miłego i serdecznego przyjęcia. Czuliśmy się jak wśród najbliższej rodziny. Gdyśmy zachodzili do chat, gromadzili się po chwili dokoła nas ludzie, którzy z największą uwagą słuchali naszych opowiadań. Zadawano nam pytania bez końca.

✓ Między innymi, zaszliśmy do wsi Dąbrówki, gdzie natrafiliśmy na bardzo zatroskanych mieszkańców. Przez długie lata mieli u siebie na miejscu księdza, który, jako wikariusz pełnił służbę Bożą w drewnianym kościółku z cudownym obrazem Matki Boskiej. Probostwo znajdowało się w odległym o kilkanaście kilometrów Kadzidle. ✓

✓ Ludność Dąbrówki sama utrzymywała swego księdza; wydzieliła mu odpowiedni grunt i wszystkie roboty, w gospodarstwie swego ulubionego pasterza wykonywała sama. A gdy będąc już w wieku sędziwym zaniemógł, wyraził życzenie, by spocząć na cmentarzu drogiej mu Dąbrówki. To też po śmierci księdza wybudowano piękny grób obok kościółka i wyznaczono dzień pogrzebu. Proboszczowi z Kadzidla nie podobał się jednak zamiar mieszkańców Dąbrówki chowania tam księdza i postanowił sprowadzić jego zwłoki do siedziby probostwa. Przeciwając opór ludności miejscowej, wysłał dla zabrania zwłok sporo swoich parafian, aby użyć nawet siły, gdy tego zajdzie potrzeba. ✓

✓ W dniu pogrzebu, trumna ze zgasłym księdzem była już na kadzidlań-

skim wozie, kiedy niespodziewanie, chłopci miejscowi pochwycili ją na ramiona i ponieśli pośpiesznie do wybudowanego grobu. Kobiety z dziećmi rozdzieliły obydwie strony walczące i uniemożliwiły parafianom kadzidłańskim wykonanie polecenia proboszcza.

Za ten wyraźny bunt parafianie Dąbrówki zostali srodze ukarani. Oto prałat z Kadzidła postanowił nie obsadzać więcej wikariatu w zbuntowanej wsi.

Brak księdza na wsi w czasie letnim, kiedy drogi były suche, nie był zbyt dokuczliwy; natomiast w innych porach roku, gdy drogi znajdowały się w stanie trudnym do przebycia, trzeba było niejednokrotnie zaniechać posług religijnych. Ludność Dąbrówki wysoce cierpiała z tej racji, stąd też była stale smutna i zatroskana.

Mieliśmy na tym przykładzie wyraźny dowód, jak szkodliwe następstwa wywołuje nietakt wyższego duchownego wobec ludności, prowadzącej najbardziej przykładne życie. Mieszkańcy ukaranej wioski oskarżali przed nami w swojej goryczy prałata z Kadzidła, że jest on wiedziony li tylko chciwością, nie chce bowiem, aby wikariat w Dąbrówce zmniejszył jego dochody.

W jednej z wsi napotkaliśmy na przykład charakteryzujący doskonale obyczajowość ludu, zamieszkującego puszcę. Oto proszono nas abyśmy w dalszej naszej wędrówce ominęli jedną wioskę, w której stało się wielkie nieszczęście - dziewczyna porodziła dziecko. Uważano, że wioska ta jest niegodna nas gościć.

Kadzidło było ostatnią miejscowością w naszej pieszej wędrówce po kurpiowskiej puszczy. Tutaj spotkaliśmy młodego ziemianina z okolicy, pełniącego obowiązki sędziego gminnego. Wyglądem naszym wzbudzaliśmy widocznie zaufanie, skoro sam nas zaczepił, a następnie zawiózł do majątku swoich rodziców.

W gościnnym dworze gospodarzy Zbikowskich przepędziliśmy cały wie-

czór na rozmowach o Kurpiach. Był tu i wikary z Kadzidka, któremu opowiedzieliśmy o naszych wrażeniach z Dąbrówki. Potwierdził on, że prąkat istotnie miał charakter bardzo despotyczny.

Po przenocowaniu w tym bardzo miłym domu, dano nam konie, które miały nas odwieść do stacji kolejowej w Ostrołęce.

Nie ujechaliśmy jednak dalej jak poza ogród otaczający dwór, gdy zostaliśmy zaalarmowani okrzykami młodego Zbikowskiego, pędzącego na przełaj przez ogród za nami. Tuż za nim podążał z rozwianym włosiem, stary ojciec jego. Czy to czasem nie Faustyn był ojcem pana, zwrócił się do mnie zadyszczanym głosem. Otrzymałszy potakującą odpowiedź, rzucił mi się na szyję i z rozrzewnieniem opowiadał, jak to ojciec mój był jego naczelnikiem w powstaniu. Prosił nas na wszystko, aby zawrócić do dworu i przynajmniej jeden dzień jeszcze z nimi pozostać. I bylibyśmy niewątpliwie uczynili zadość temu tak z serca płynącemu zaproszeniu, gdyby nie wielka tęsknota do naszych najbliższych. Dojechaliśmy więc do stacji kolejowej w Ostrołęce, skąd już każdy z nas udał się do swojej rodziny.

Dwutygodniowa wędrówka piesza dała nam wiele wrażeń i dużo zadowolenia. Zajrzeliśmy wгłęb duszy Polaków tej części kraju i zyskali dużo tematu do dalszych naszych rozważań.

W rozwinięciu planów, układanych w sierpniu 1888 roku, postanowiłem się zaręczyć z moją szesnastoletnią kuzynką, którą zastałem w Skierbieszowie. Narzeczona moja, Michalina Czyżewska, była córką rodzonej siostry mojego ojca. Bliskie pokrewieństwo i bardzo młody wiek kuzynki miały duże znaczenie w moim wyborze. Dzięki bowiem tym warunkom obiecywałem sobie mieć większy wpływ przy dalszym wychowywaniu swojej przyszłej małżonki. Pragnąłem ją jak najbardziej dostroić do mojej późniejszej działalności społecznej. A to, że była córką mojej ciotki, którą

bardzo kochałem, wielkiej patriotki, dawało mi również pewną gwarancję powodzenia moich wychowawczych zamiarów.

Z różnych moich młodzieńczych planów, z których nie wszystkie mogłem później wykonać, ten ostatni udał mi się najzupełniej. Moja późniejsza towarzysza życia, pełnego mocnych wydarzeń, przewyższyła cennymi zaletami swego pięknego charakteru, najśmielsze moje oczekiwania.

W rok później, jadąc do mojej narzeczonej do Płocka, wstąpiłem do majątku Wrogocin. Majątek ten dzierżawili studenci Hempel, Płoski i bliźki mój kuzyn Bojanowski Michał. Wszyscy trzej pochodzili z zamożnych domów ziemiańskich, a zostali wydaleny z Instytutu rolniczego w Puławach za polityczną działalność.

Chociaż rodzice ich namawiali do powrotu do domu, nie chcieli tego zrobić, postanowiwszy osiąść we Wrogocinie i zająć się pracą nad oświatą ludową. Jeden z nich zajmował się gospodarstwem rolnym, dwaj pozostali prowadzili w ciągu dnia szkołę dla dzieci, a wieczorem dla dorosłych. Lekcje odbywały się w dużym salonie dworu wrogocińskiego.

Używano do nauki legalnych wydawnictw, pozatym jednak odbywało się równoległe uświadamianie narodowe, gdzie już rzeczy nazywano po imieniu. Przychodzące do dworu dzieci chowały skrzętnie swoje książki i kajety pod ubraniami. Charakterystycznym było, że w całej wsi nie znalazł się ani jeden wyrzutek, któryby zademonstrował władzom fakt nielegalnej działalności młodych gospodarzy majątku. W przeciągu roku nie było już analfabetów.

Stosunek do służby był również niezwykły. Niestającym robotnikom płacono to samo zimą, co i latem, argumentując, że jednako trzeba się żywić latem jak i zimą. Prawo popytu i podaży na rynku pracy nie miało tu zastosowania.

Gospodarze wrogocińscy, chcąc dać pełny wyraz swego zaufania do

ludności nie używali zupełnie zamków. Cały ich dobytek był stale otwarty. I ciekawe, że zaufania tego nie nadużyto ani razu. Również i wydajność pracy nie pozostawiała niczego do życzenia mimo, że nie stosowano specjalnego nadzoru.

Właścicielom okolicznych majątków, w szczególności zaś tym, którzy bezpośrednio sąsiadowali z majątkiem wrogocińskim, nie mógł się podobać stosunek z ludnością, jaki tu panował. Młodych ideowców uważano poprostu za rewolucjonistów, bałamucących ludność. To też nie szczędzono im słów krytyki, które wypowiedziano tak bezceremonialnie, iż w ciągu roku doszły one także i do wiadomości władz rosyjskich. Władze te zaopiekowały się romantykami wrogocińskimi i osadziły ich w więzieniu petersburskim.

Mieli oni szczęście dostać się do nowowbudowanego więzienia, w którym uwzględniono w pewnej mierze urządzenia humanitarne. Wystawiono je dla propagandy celem pokazywania przyjezdnym z zagranicy. Kontrastowało ono z pozostałymi licznymi więzieniami w Rosji, które znajdowały się w najokropniejszym, pod każdym względem stanie.

Za nielegalne prowadzenie szkoły wymierzono tym razem stosunkowo łagodną karę, wynoszącą zaledwie sześć miesięcy więzienia. Rozumowano widocznie, że młodzież zamożnych rodziców, po odsiedzeniu kary, powróci do swych domów i nie będzie sprawiać żadnego już więcej niepokoju władzom politycznym. I rzeczywiście tak się stało. Wszyscy trzej idealisci osiedli w majątkach, prowadząc swoje dalsze życie godnie, ale już bez żadnego rewolucyjnego ostrza, skierowanego przeciwko władzom, zadawalając się płaceniem składek do organizacji narodowej.

Kiedy uzyskałem pełnoletność i kiedy nadszedł termin zgłaszania się o spadek majątkowy po ojcu, zaproponowałem, na zebraniu rodzinnym w Skierbieszowie, oddać cały majątek siostrze Zofii, którą bardzo wszyscy kochaliśmy. Najstarszy brat Witold otrzymał bowiem, jeszcze za życia

ojca folwark Majdan Skierbieszowski, siostra zaś Aleksandra, która, wychodząc zamąż za ziemianina, opuściła najwcześniej dom rodzicielski, otrzymała posag gotówkowy.

Ponieważ propozycja moja została przez pozostałych dwóch braci przyjęta, a starsze rodzeństwo nie zgłosiło żadnych swoich pretensji do spadku, przeto siostra Zofia stała się jedyną spadkobierczynią majątku.

Z nas trzech tylko starszy brat Władysław miał ukończone studia i był na posadzie. Mnie czekały jeszcze dwa lata studiów aż do ukończenia politechniki oraz służba wojskowa, młodszy zaś brat Ludwik był na bezpłatnej praktyce rolniczej. Z tych więc powodów, mąż mojej siostry przyjął na siebie obowiązek płacenia nam przez lat kilka pewnej skromnej pensji, najmłodszemu bratu zaś, ponieważ nie był on jeszcze pełnoletni, miał wypłacić dodatkowo pewną sumkę po jego upełnoletnieniu. Dożywocie matki zabezpieczono na majątku.

Chociaż wypłaty te stanowiły pewne obciążenie majątku, to jednak było ono bardzo małe w porównaniu z wartością całej ojcowizny.

Upłynęło mi dwa i pół lat w zaciszu wledeckiej gromady. Pod wpływem czytania historii powstań polskich, których wydania zagraniczne dostały mi się do rąk, spotęgował się we mnie bunt przeciw zaborcom, przede wszystkim zaś przeciw najwięcej nas demoralizującej Rosji. Już nie mogłem dalej spokojnie patrzeć na to, co się działo w Polsce.

Nabrałem przeświadczenia, że byłoby niegodne dla Polaka nie protestować w sposób wyraźny przeciw naszej niewoli. Należało ją zwalczać. Nie można było przecież nadal pozostawać w spokoju w wygodnych, normalnych warunkach życiowych, skoro naród był ucimieszany. Bunt wewnętrzny rósł z każdą chwilą. Rodziła się coraz głębsza świadomość, że godność człowieka wymaga aktywnego działania, choćby było połączone z niewygodami i licznymi czyhającymi niebezpieczeństwami. Cofnięcie się zaś przed

spełnieniem tego obowiązku świadczyłoby, że zaczyna się z tą godnością
dziać niedobrze, że poziom jej obniża się, a szacunek dla samego siebie
maleje.

W początkowej fazie tej przemiany psychicznej, zacząłem tworzyć z
kolegami, do których miałem zaufanie, organizację, rodzaj zaprzysiężenia,
którego liczba członków miała się stopniowo zwiększać. Było to ciężkie
zadanie, bo nie miałem do tego żadnych wzorów, praktycznie wypróbowanych.

Wkrótce jednak przyjechał do Rygi Zygmunt Balicki i zjawił się u
mnie. Widocznie doszła do niego wiadomość o mojej robocie w kółkach
samokształcenia, które miały wśród kolonii polskiej w Rydze rozgłos.

217
Balicki przywiózł ze sobą statut organizacji narodowej, którego był
głównym autorem. Był to statut przeznaczony specjalnie dla młodzieży ze
szkół wyższych. Organizacja ta przewidywała trzy kategorie wtajemniczo-
nych: kolegów, towarzyszy i braci. Niższa kategoria wtajemniczonych nie
wiedziała o istnieniu wyższej.

Balicki zwrócił się do mnie w oczekiwaniu, że będę w stanie stwo-
rzyć sekcję ryską organizacji wśród polskich studentów politechniki.
W tym celu uświadomił mi odrazu co do wszystkich stopni organizacji.
Mandat przyjąłem. Statut był pięknie napisany i nie wywoływał u mnie
żadnych zastrzeżeń. Powstała w ten sposób sekcja ryska organizacji na-
rodowej, licząca 30 członków różnych stopni.

Rekrutów Polaków w wojsku rosyjskim kierowano do różnych miejscowos-
ci w Rosji, z wyłączeniem tych, w których ludność polska miała większy
odsetek. Do Rygi przybywała corocznie spora część poborowych z okręgów
polskich cesarstwa. Skorzystałem z tego faktu, by zająć pracę praktycz-
ną członków sekcji ryskiej. Uważałem, że stworzenie organizacji, bez
możliwości dania jej członkom zajęcia praktycznego, może wpływać demo-
ralizująco.

Wszedłem w kontakt z pewnym podoficerem, któremu mogłem w zupełności zaufać. On dostarczał nam właśnie żołnierzy, specjalnie wybranych pod względem charakteru. Każdy z członków organizacji miał za zadanie urabiać i uświadamiać dwóch z pośród żołnierzy. Jeden z nich o drugim nie wiedział, a każdy z nich posiadał adres tylko jednego studenta, do którego w uzgodnionym czasie przychodził.

Praca w wojsku wymagała bardzo starannej konspiracji, bo w razie jej ujawnienia oczekiwała duża odpowiedzialność dla obydwóch stron.

W niedługim czasie po powstaniu organizacji narodowej w Rydze, przyszło z Warszawy zawiadomienie o terminie zjazdu przedstawicieli wszystkich sekcji. Na zjazd udałem się sam. Zastałem tam delegatów z Kijowa, Moskwy, Charkowa, Petersburga, Dorpatu i większy zastęp z Warszawy.

Spotkałem tam Romana Dmowskiego. Rola jego musiała być wybitna i to specjalnie w dziale organizacyjnym.

Wrażenia, jakie odniosłem ze zjazdu, rozczarowały mnie. Trzeba było wysłuchiwać dużo pięknych słów, stojących daleko od wszelkiej inicjatywy. Do konkursu retorycznego przystąpiło wiele młodzieży nawet starszej. I to było zdaje się najgłówniejszą treścią zjazdu.

To czego słuchałem i na co patrzyłem daleko odbiegało od tego, czego oczekiwałem. Rodzaj dyskusji nie mógł mnie pobudzić do zabierania głosu, ograniczyłem się też do paru rzeczowych uwag swoich. Osoba moja musiała mieć swój specyficzny wyraz, skoro od tej chwili bardzo się mną zainteresował Roman Dmowski. W dłuższych rozmowach z nim, starał się on związać mnie bardziej z organizacją. Zapamiętałem z nich dobrze jedno powiedzenie: "Naprzód trzeba zbudować własny dom, a dopiero później należy go meblować". Nie mówił mi jednak, jak należy zbierać materiał do tej budowl. Bo przecież, jeżeli ma nastąpić walka o niepodległość narodu, to trzeba do niej stworzyć warunki i przygotować ludzi.

Zjazd się zakończył, a nie pozytywnego nie dał. Mogło się nawet zda-
wać, że samo istnienie organizacji wystarcza jej przywódcom. Gdy wspomnia-
łem, że sekcja ryska posiada możliwość sprowadzenia z zagranicy dużej ilość-
ci literatury, odpowiedziano mi, bez większego zainteresowania się pro-
pozycją moją, iż możemy sprowadzać dla organizacji "Pobudkę". x/

Po powrocie do Rygi byłem zdecydowany z organizacji narodowej wy-
stąpić, gdyż mi już nie odpowiadała.

Coraz ^{bardziej} więcej przychodziłem do przeświadczenia, że warstwy społecz-
ne, które jeszcze w ostatnim powstaniu 1863/4 roku brały tak entuzjasty-
czny i masowy udział, nie posiadają już w dostatecznym stopniu energii
psychicznej do dalszych walk niepodległościowych.

Trzeba było zatem sięgnąć do warstw pod względem ^{socjalnym?} specjalnym niżej
stojących i zająć się uświadamianiem i rozbudzaniem wśród nich uczuć
patriotycznych. Przystępując jednak do nizin społecznych z tymi zamiara-
mi, nie można było pominąć ich interesów socjalnych. W ten sposób grup-
ka młodzieży ryskiej przyjmowała stopniowo lewicowy kierunek.

Praca nasza zapoczątkowana w wojsku, przybierała coraz większe roz-
miary. Wychowanków naszych, opuszczających szeregi wojska zaopatrywalis-
my w biblioteczki, składające się nie tylko z broszurek legalnych "oświa-
ty ludowej", ale i z literatury nielegalnej, sprowadzanej z poza kordonu
przez naszą, dobrze zorganizowaną placówkę graniczną.

Pozostawanie nasze w korporacji, z jednoczesnym prowadzeniem roboty
nielegalnej było trudne do pogodzenia. Stasi koledzy w Weleccji mieli do
nas nawet uzasadnioną pretensję, że prowadząc taką działalność, naraża-
my korporację na ewentualne zamknięcie.

Wystąpienie z Weleccji nie było dla mnie rzeczą łatwą. Życie kole-
żeńskie w naszej gromadzie było serdecznymi uczuciami tak związane, że

tworzyliśmy jedną rodzinę. To też zwlekałem z wystąpieniem; w końcu zaś postanowiłem przesunąć powzięcie decyzji na czas po powrocie z pogrzebu brata Władysława, który zmarł w Warszawie. Zawiadomiony telegraficznie o tym rodzinnym nieszczęściu, wyjechałem bezzwłocznie. Z Warszawy miałem się udać do narzeczonej, mieszkającej w domu rodzicielskim w Płocku. Tam chciałem ostatecznie postanowić o zerwaniu z tym ciepłym życiem koleżeńskim Weleccji.

Przebywanie w różnych środowiskach, ciągła zmiana nastroi i wrażeń, nie zmieniła jednak kierunku mojego nastawienia. I chociaż zdawałem sobie sprawę z tego, że wchodzę na drogę bardzo ciężką i niebezpieczną, trzymałem się raz wytkniętej linii. / Gdybym wtedy nie był w stanie oprzeć się autosugestii, która czyniła mocne naciski na moje ideologiczne nastawienie, musiałoby nastąpić załamanie, oceniane przeze mnie za największe nieszczęście życiowe. X

Po tym zwycięstwie nad samym sobą, powróciłem do Rygi znacznie psychicznie wzmocniony.

R O Z D Z I A Ł I V .

Nadeszła sobota i posiedzenie tak zwanego koła. Na porządku obrad postanowiono uchwały, nakładające na wszystkich członków korporacji obowiązek złożenia słowa honoru, że nie będą uczestniczyć w żadnych nielegalnych stowarzyszeniach.

Pierwszy zabrałem głos w tej sprawie, zwalczając ten niegodny punkt porządku obrad. Mówiłem długo i z wielką mocą. Wrażenie przemówienia musiało być silne, skoro jeden z kolegów zemdlakł i trzeba było wezwać lekarza. Bezpośrednio po zakończeniu przemówienia, w wielkim podnieceniu, wypisałem na kartce swe wystąpienie i skłoniwszy się zgromadzonemu opuściłem zebranie.

Na drugi dzień, kiedy rozeszła się wieść o moim wystąpieniu z We-